

**Karolina Wiercigroch**

PROCES MYŚLOWY TOMASZA L.

Był ciepły, wiosenny dzień, kiedy Tomasz L. przekraczał próg nowego mieszkania. Na waniliowym niebie rozgrywała się trzymająca w napięciu gonitwa słońca i chmur. Dzięki temu było jasno i pogodnie, ale nie irytująco gorąco. Perfekcyjnie. Pogoda stwarzała pierwszą w tym roku okazję do założenia wiosennych płaszczy i lekkich butów. Oczywiście z najnowszych kolekcji.

Delikatny wiatr dyskretnie szeleścił liśćmi w odcieniu soczystej zieleni, które zdążyły już pojawić się na drzewach. Były tak zielone, że aż trudno było uwierzyć, że są dziełem natury. Wydawałoby się raczej, że główny ogrodnik osiedla „Dekadencja” wyciął je z jakiejś liściopodobnej masy wykonanej z absolutnie trwałych materiałów stosowanych w przemyśle kosmicznym i sam ponaklejał na gałęziach, odmierzywszy wcześniej idealnie równe, ale nie budzące podejrzeń odstępy. Być może tak właśnie było. Ozdobne krzewy i urocze drzewka owocowe stały bowiem w pozornie naturalnym nieładzie, który przypadkowy obserwator mógłby wziąć za dzieło wiatru i nasion. Tak naprawdę zostały jednak rozmieszczone według starannie przygotowanego planu znanego architekta zieleni. Zgodnie z najnowszą, londyńską modą, która przywracała dawną świetność ogrodów w angielskim stylu i nakazywała ustawianie drzew w sposób, który wyglądał na pozbawiony ludzkiej ingerencji. Tomasz L. doskonale znał się na ogrodniczych trendach – w końcu był stałym czytelnikiem „The Secret Garden”, szalenie popularnego brytyjskiego magazynu traktującego o architekturze zieleni. Dlatego cieszył się, że na osiedlu, na którym miał wkrótce zamieszkać, najwyraźniej także prenumerowali pismo.

Jeszcze raz pogratulował sobie słusznego wyboru. Osiedle apartamentowców w prestiżowej, ale jeszcze nie nieznośnie modnej dzielnicy Warszawy było idealnym miejscem dla mężczyzny takiego, jakim pragnął być Tomasz L. Doskonale podkreślało jego status. Było przedmiotem zazdrości kolegów oraz, oczywiście, maluczkich. Za chwilę miało stać się modne; Tomasz L. wybrał, więc idealny moment, żeby się wprowadzić. Wiosna nie była tu przypadkowa. Wszystko budzi się wtedy ponownie do życia, dlatego ta pora roku świetnie nadaje się na wielką zmianę. Miał nadzieję, że koledzy sami zauważą dyskretną symbolikę tego gestu. Jeśli jednak okazałoby się niewystarczająco spostrzegawczy, Tomasz L. miał zamiar mimochodem wspomnieć o tym „fascynującym zbiegu okoliczności”. Abstrahując od tego metaforycznego wymiaru, dzień był naprawdę ładny i wszystko wyglądało jak w reklamie prawdziwego szczęścia.

Tomasz L. był pewien, że jest o krok od osiągnięcia prawdziwego szczęścia. Należało mu się, był tego pewien. Pracował na nie już od kilku lat i – choć nie lubił przyznawać się do tego nawet sam przed sobą – była to praca cholernie męcząca. W głębi duszy czuł, że szczęście musi czaić się tuż za rogiem. Nie byłby chyba w stanie wytrzymać dalszej gonitwy. Tomasz L. miał już prawie wszystko, czego mógłby życzyć sobie prawdziwie szczęśliwy człowiek. Pracował na stanowisku managera w prestiżowej, międzynarodowej korporacji. Miał biuro wielkości małego boiska do koszykówki i sekretarkę, która stanowiła idealne połączenie profesjonalizmu i dobrej prezencji. Jadał lunch tylko z kadrą zarządzającą i zagranicznymi klientami. Był na szczycie.

Jeździł najnowszym modelem sportowego samochodu. Według Tomasza L. nie był to wcale najlepszy model, jaki można sobie wyobrazić. Widział dużo ładniejszych samochodów. Właściwie, to niezbyt mu się podobał. Ale od kilku tygodni niezmiennie zajmował pierwsze miejsce w rankingu „Twój Lśniący Samochód”. Pisma motoryzacyjnego. Jedyne, z którym warto było się liczyć. Co

oznaczało, że ten właśnie model był pożądany. Tomasz L. wiedział, że szczęście wymaga poświęceń. Dlatego kupił sobie ten samochód i codziennie jeździł nim do pracy.

Tomasz L. miał idealną dziewczynę, którą zabierał na firmowe bankiety i która zajmowała miejsce koło niego, kiedy jeździli jego nowym, sportowym samochodem. LuLu idealnie prezentowała się na tle kremowej, skórzanej tapicerki, a grafitowy lakier pięknie kontrastował z jej błękitnymi oczami. Poza tym, miała śliczne nogi i wspaniałe, prawdziwie lśniące włosy. Stanowiła dla Tomasza doskonałą partię. Co nie oznacza wcale, że jej wygląd był dla niego najważniejszy. Lata dziewięćdziesiąte, kiedy liczyła się tylko ładna buzia i kształtny biust, bezpowrotnie minęły i trzeba było się z tym pogodzić. Dlatego znalezienie idealnej partnerki było dużo trudniejsze, niż wtedy. Ale Tomasz L. poradził sobie doskonale. LuLu była nie tylko zjawiskowo piękna. Pracowała jako specjalistka od reklamy w małej agencji, co było nie tylko wyrazem jej kreatywności, ale także niezależności i alternatywnego podejścia do życia. LuLu mogłaby pracować w wielkiej korporacji, tak jak Tomasz L., ale tam nie pracowała, bo była słodka i urocza. Trochę jak Holly Golightly i trochę jak Carrie Bradshaw. LuLu miała świetny gust i zawsze była odpowiednio ubrana. Poza tym, interesowała się kulturą Wschodu, co było nieco passé, ale dopuszczalne u tak czarującej osoby, jak LuLu.

LuLu naprawdę fascynowała kultura Wschodu. Tomasza L. tak naprawdę nie fascynowało nic, ale doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważne jest posiadanie jakichś pasji. Najlepiej oryginalnych. I kosztownych. Ta część wędrowki ku szczęściu zajęła mu całkiem sporo czasu i była usłana cierniami. Większość akceptowalnych w towarzystwie hobby nużyła go. Próbował zainteresować się bałkańską sztuką filmową. Jeździł na festiwale i brał udział w dyskusjach na ten temat, ale filmy wydawały mu się wyjątkowo nudne i mało zrozumiałe. Z ulgą porzucił tę formę rozrywki po pół roku. Znajomy poradził mu, żeby przerzucił się na sport: jest równie mile widziany, a jednocześnie zapewnia dobrą sylwetkę. Tomasz L. ucieszył się, gdyż, jako mały chłopiec, bardzo lubił grać w piłkę nożną. Niestety, okazało się, że jest zdecydowanie zbyt prozaiczna. Chłopak na byle podwórku może grać w piłkę. Więc ktoś taki, jak Tomasz L., nie powinien. Spróbował golfa, squasha i lacrosse'a. Żadna z tych gier nie przypadła mu do gustu, co mógłby zresztą przeboleć – w końcu nie robił tego dla zabawy. Co gorsza, nie wykazywał żadnych zdolności w tej materii, a więc musiał czym prędzej zrezygnować. Jeśli już uprawia się sport, trzeba być w tym najlepszym. Albo przynajmniej wybitnym. W akcie desperacji Tomasz L. postanowił zostać bywalcem teatrów, chociaż nigdy za tym nie przepadał. Okazało się jednak, że musi się bardziej sprecyzować – byle kto mówi, że interesuje się teatrem, mimo, że w ciągu roku chodzi tylko na kilka przypadkowo wybranych spektakli. Wybrał operę, bo – po epizodzie z bałkańskim kinem – miał dosyć alternatywnych, niszowych produkcji. Poza tym, dobre miejsca w Operze Narodowej były całkiem drogie, a na premierach bywała śmietanka towarzyska stolicy. Mógłby też jeździć chociażby do La Scali w Mediolanie albo do Royal Opera House na Covent Garden w Londynie i opowiadać o tym później na przyjęciach. Plan był znakomity. Tomasz L. wytrzymał jedynie dwa miesiące. Był pewien, że fizycznie nie jest w stanie znieść tak wysokich tonacji. Rozważał zakup stoperów do uszu, które mógłby zakładać na czas przedstawienia. I tak nie rozumiał nic z tego, co śpiewali artyści. Po części dlatego, że chodził tylko na klasyczne włoskie opery, a po części dlatego, że śpiewano bardzo niewyraźnie. W końcu jednak zrezygnował. Ostatecznie został przy degustacji win i nurkowaniu. Były to czynności względnie przyjemne, kosztowne i wymagające podróży, które zawsze było dobrze odbierane. Teraz, po dwóch latach wycieczek do Bordeaux i Egiptu wydawało mu się, że całkiem lubi nieco zbyt cierpki smak czerwonego wina oraz potworne uczucie zagubienia, kiedy zanurza się w słonej wodzie.

Jak widać, Tomasz L. był prawie szczęśliwym człowiekiem. Kiedy spoglądał na swoje życie z boku, wydawało mu się doskonałe. Bajeczne mieszkanie było ostatnią rzeczą, której brakowało mu do szczęścia.

Tomasz L. przekręcił klucz w zamku i popchnął ciężkie, mahoniowe drzwi – osobisty wybór dekoratora („Moda na lekką zabudowę – tak, ale drzwi wejściowe muszą być solidne.”). Mieszkanie było prawie całkowicie urządzone. Otwarta przestrzeń, światło, soczyste barwy – dzieło uznanego architekta wnętrz, zgodnie z obowiązującymi trendami. Meble idealnie odpowiadające tym z tegorocznych targów w Mediolanie. Kilka kosztownych dzieł sztuki mało znanych artystów, których podsunęła mu przyjaciółka Sabina („Doskonała inwestycja. I zobacz, jakie to piękne!”). Importowane kafelki, afrykańskie drewno, weneckie szkło. Mieszkanie idealne dla takiego mężczyzny, jakim chciałby być Tomasz L. Pozostawała tylko jedna poważna wątpliwość – telewizja.

Ten problem nie dawał mu spokoju już od jakiegoś czasu. Teraz, kiedy przyszedł obejrzeć swój nowy dom, także nie mógł przestać o nim myśleć. Tomasz L. podniósł ze stolika wykonaną ze szkła czaszkę (prezent od Sabiny, która z niewyjaśnionych przyczyn uwielbiała przypominać ludziom o upływającym czasie, jak również uważała, że szklana rzeźba idealnie będzie pasować do minimalistycznego salonu Tomasza L.). Obrócił ją kilka razy dłoni. Malowniczo ustawił się na tle ogromnego okna z mlecznego szkła i postanowił ostatecznie rozwiązać ten dręczący go dylemat. Mimo wnikliwej lektury lifestylowych pism oraz licznych wywiadów przeprowadzonych wśród znajomych, Tomasz L. był w kropce. W modzie było zarówno krytykowanie telewizji i głośne ogłaszanie, że się jej absolutnie nie ogląda, jak i chwalenie się coraz nowszymi modelami plazmowych telewizorów.

Postronnemu obserwatorowi problem mógł wydawać się trywialny, ale Tomasz L. nie wiedział, czy powinien kupić sobie telewizor i wpadał w coraz głębszą depresję, ponieważ nie był w stanie podjąć tej decyzji. Wiedział, że może ona zaważyć na jego starannie wypracowanym szczęściu. Co pomyślą jego znajomi, kiedy zobaczą, że kupił sobie gigantyczny telewizor? Czyżby był jednym z tych osobników o znikomym poziomie intelektu, którzy całymi dniami wlepiają ślepią w ekran i nie mają nic lepszego do roboty w piątkowy wieczór niż oglądanie kolejnego odcinka „Niekończącej się opowieści” albo „ABC jak Alfabet”?! Co pomyślą, kiedy zobaczą, że w jego idealnym mieszkaniu nie ma telewizora? Czyżby jego platynowa karta kredytowa nie pozwalała na zakup najnowszego modelu super-płaskiej plazmy lub, co gorsza, czyżby nie orientował się nawet, która plazma jest najbardziej płaska?!

Tomasz L. wiedział, że najbardziej racjonalnie byłoby zdecydować samodzielnie i nie przejmować się zdaniem innych. Przecież jedni mają telewizory, inni nie. I jakoś dają sobie radę. Mimo znacznego zadufania w sobie i przerośniętego ego, Tomasz L. potrafił przyznać się – sam przed sobą – do niektórych wad własnych. Dlatego wiedział, że nie będzie w stanie samodzielnie podjąć decyzji. Nie posiadał bowiem opinii na absolutnie żaden temat. Pozostawał tak skupiony na kopiowaniu innych i podążaniu za trendami, że nie pamiętał nawet, czy kiedykolwiek miał własne zdanie w jakiegokolwiek materii. Był naśladowcą idealnym w każdym calu. Lata praktyki nauczyły go szybkości i sprawności w działaniu. Potrafił podchwytować trendy, jak nikt inny. Wystarczył jeden impuls, aby Tomasz L. był gotowy do odwrócenia swojego życia o trzysta sześćdziesiąt stopni. Nigdy jednak nie próbował forsować własnych pomysłów. To wiązało się z ryzykiem. Tomasz L. pogardzał ryzykiem. Co, jeśli wymyślona przez niego moda nie przyjmie się, a on zostanie pośmiewiskiem całego towarzystwa? Tomasz L. nie chciał nawet wyobrazić sobie takiej zniewagi. Widział wiele podobnych upadków i nigdy nie chciałby zająć miejsca takiej osoby. Ostracyzm społeczny gwarantowany. Czasem konieczna bywa przeprowadzka. Czasem udaje się wrócić do łask, ale już nigdy na wysoką pozycję. Tomasz L.

całe życie trzymał się w czołówce, ale nigdy nie atakował pozycji lidera. Było mu z tym dobrze. Zdawał sobie sprawę, że nie ma własnych poglądów, ale zazwyczaj nie przeszkadzało mu to zbytnio. Nie wiedział tylko, co począć z tym nieszczęsnym telewizorem.

Opinie znajomych były podzielone. Sabina nie miała telewizora i nie znosiła telewizji. Ale ona była artystką, więc było to całkowicie zrozumiałe. Poza tym, cały czas gdzieś uciekała i nikt nie traktował jej zbyt serio. No i była kobietą. Im o wiele więcej uchodzi na sucho.

Inny artysta – Hubert Hubert, pisarz – miał telewizor. Najnowszą, ogromną plazmę. Na ścianie w salonie. Z tym, że zarzekał się, że ogląda tylko i wyłącznie wiadomości – do których i tak podchodzi z dużą rezerwą – oraz jazdę figurą na lodzie. Wtórował Sabinie, kiedy krytykowała rozrywkowe programy, których, rzecz jasna, nigdy w życiu nie oglądała. Hubert Hubert powtarzał każdemu, kto zgodził się go wysłuchać, że kupił telewizor dla swojej córki Anabelli, która uwielbiała telewizję i wielbiła telewizyjne sławy. Bez przerwy przeglądała kolorowe magazyny z ich zdjęciami, a w wolnych chwilach wrywała te zdjęcia i oblepiała nimi ściany pokoju. Anabella miała jakieś jedenaście lat i najwyżej metr czterdzieści pięć wzrostu, więc wszyscy podchodzili do tego z dużą dozą wyrozumiałości. A Hubert Hubert mógł chwalić się swoją plazmą. Byłoby to idealne rozwiązanie dla Tomasza L. Niestety, nie posiadał córki. Przez moment rozważał adopcję jakiejś biednej dziewczynki, chociażby z Azji, dla której mógłby kupić ogromny telewizor. Wtedy musiałby jednak oddać jej jeden pokój w swoim mieszkaniu i zrezygnować z barku stylizowanego na saloon rodem z Dzikiego Zachodu, z którego był bardzo dumny. Wolał już nie mieć telewizora. Właściwie, mógłby zamieszkać z LuLu i wmówić znajomym, że to ona uwielbia oglądać telewizję. Tomasz L. bał się jednak, że dziewczyny w typie LuLu mogą niedługo wyjść z mody. Wszyscy pokazywali się z uroczymi laleczkami już od kilku miesięcy. Zmiana mogła, więc nastąpić w każdej chwili. Kolega Tomasza L., Marcel, już od dawna lansował modę na Azjatki, co kilka tygodni pokazując się wszędzie, gdzie się dało, z inną modelką o wschodniej urodzie. Nowa narzeczona Piotra była Wietnamką. Co prawda wychowała się w Paryżu, ale co z tego? O rosnącej popularności sushi już nie wspominając... Wszystko wskazywało na to, że to Azjatki będą tym czymś, bez czego nie warto pokazywać się w nadchodzącym sezonie. Tomasz L. nie zamierzał komplikować sobie życia proponując LuLu wspólne mieszkanie. Była kochana, ale troszeczkę zbyt serio podchodziła do takich spraw i mogłaby opacznie zrozumieć jego propozycję. Problem pozostawał: Tomasz L. nie wiedział, czy kupić ten przekłęty telewizor, czy nie.

Jego dobra koleżanka Emma oglądała telewizję przez cały czas. Miała w mieszkaniu chyba ze cztery plazmy, jedną nawet w łazience. Wyglądało to na lekką obsesję, ale wszyscy uwielbiali Emmę, bo dostarczała im dużo rozrywki i była naprawdę barwną postacią. Starła się wcielić telewizyjne scenariusze w życie. W związku z tym, za każdym razem, kiedy się ją spotykało, zachowywała się i wyglądała zupełnie inaczej – w zależności od tego, który serial akurat oglądała. Co więcej, zawsze nosiła przy sobie przenośne radio, żeby móc odtworzyć odpowiednią ścieżkę dźwiękową do przełomowych wydarzeń w swoim życiu. Kiedy puszczała „Lekarzy bez granic”, Emma aplikowała na studia medyczne, a podczas „Szalonych lat disco” bez przerwy urządzała w swoim mieszkaniu zwariowane imprezy, nosiła cekiny i marynarki z poduszkami na ramionach i naprawdę zachowywała się, jakby żyła w latach osiemdziesiątych. Przy „Milczącym ze lwami” zupełnie się nie odzywała. Był to serial o pracowniku zoo, który rozstał się z narzeczoną i w związku z tym, postanowił nie odzywać się do nikogo przez trzy miesiące – dokładnie tyle, ile trwał ten nieszczęsny związek. W żadnym odcinku nic się za bardzo nie działo, ponieważ dialogi mogły odbywać się tylko pomiędzy drugoplanowymi postaciami, które były słabo dopracowane i raczej nudne. Z powodu małej oglądalności dosyć szybko zdjęli serial z anteny. Całe szczęście, bo milcząca Emma zaczynała być męcząca.

Im dłużej Tomasz L. się zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy nie będzie w stanie zdecydować, jaki powinien być jego stosunek do telewizji. Stale dostawał sprzeczne sygnały. Prawie wszyscy, którym zależało na opinii inteligentów, podnosili głosy krytyki. Preferowali inne formy spędzania wolnego czasu. Uważali, że telewizja jest dla niedouczonego mas. Jak opium. Albo religia. No właśnie, religia... Co z kultem celebrytów? Telewizyjne gwiazdy bywały wyśmiewane i krytykowane, jak cała machina telewizji. Ale już mieć znajomego z telewizji było w dobrym tonie. Moja koleżanka Hanka Na-Topie, prowadzi program „Gadanie na śniadanie”. Mój dobry przyjaciel, Jan Znany, no wiecie, z tego popularnego serialu „Kochaj, nie kochaj – rób, co chcesz”. Czy powinniśmy wiedzieć? Przecież podobno nie oglądamy telewizji. Czy powinniśmy, więc, odpowiadać, że nie kojarzymy najbardziej znanego polskiego serialu o milionowej widowni? Nie do pomyślenia. Telewizja to ogromne inwestycje i pieniądze, a te zawsze są pożądane. Wiadomo, że bardziej elegancko byłoby inwestować w teatr albo młodzieżowe chóry gregoriańskie. Ale...

Tomasz L. od razu pomyślał o panu Czarnym, który dorobił się wielkiego majątku jako producent telewizyjny. Pan Czarny był powszechnie podziwiany, a młodzianka, śliczna Cecylia – w której podkochiwali się wszyscy – nie odstępowała go nawet na krok. Pan Czarny był potentatem. Dostrzegł okazję w odpowiednim momencie i nie bał się działać. Miał wspaniałe pomysły i idealnie trafiał w gusta publiczności. Jak to możliwe, że sama telewizja była odbierana negatywnie, ale już praca w niej stanowiła źródło prestiżu? W każdym razie, nie rozwiązywało to problemu Tomasza L. w najmniejszym nawet stopniu, ponieważ nie był pewien, czy pan Czarny posiada telewizor. Jego pozycja była zresztą na tyle mocna, że nie miało to żadnego znaczenia.

Telewizora nie miał za to Artur R., co stanowiło ważny argument przeciwko jego posiadaniu. Artur nie był jakimś zwariowanym, pijanym poetą, zagłęzionym tylko w swojej sztuce i poszukującym innych stanów świadomości. Bo tak często wyglądała charakterystyka tych, którzy w wielkiej ankiecie za lub przeciw telewizji zakreśliliby tę drugą możliwość. W dodatku najprawdopodobniej użyliby w tym celu własnej krwi. Ale nie Artur R. On był normalnym, statecznym mężczyzną. Pracował jako radca prawny w korporacji Tomasza L., więc nie można było uznać go za wariata. Artur nie miał telewizora, bo przedkładał inne rozrywki nad oglądanie wielkiego, czarnego pudła. Co więcej, był największym gadzieciązem, jakiego kiedykolwiek spotkał Tomasz L. Nie było więc mowy, aby ktokolwiek mógł pomyśleć, że Artura nie stać na zakup superhiper plazmy lub posądzić go o brak obeznania w elektronicznych trendach. Artur miał wszystko najlepsze: zegarek, komputer, elektroniczny notes, samochód, elektryczną maszynkę do golenia, sprzęt sportowy oraz najbardziej modne i najdroższe spinki do mankietów. Artur bardzo dbał o to, żeby nikt nie zobaczył go więcej niż raz z tymi samymi spinkami. Zainstalował w swoim elektronicznym notesie specjalną aplikację, która pozwalała mu gromadzić dane na temat tego, które spinki miał na sobie podczas spotkania z poszczególnymi osobami. Gdyby Tomasz L. zastanowił się nad przypadkiem Artura R. trochę dłużej, być może doszedłby do wniosku, że nie ma on po prostu czasu na oglądanie telewizji, gdyż jest zbyt zajęty ciągłym śledzeniem spinkowych statystyk oraz bieganiem po sklepach w poszukiwaniu nowych egzemplarzy. Mimo tego dziwactwa, Artur był jednak odbierany pozytywnie i stanowił dobry przykład na to, jak poradzić sobie z telewizyjnym problemem.

Wielogodzinne rozważania sprawiały, że Tomasz L. stawał się coraz bardziej wycieńczony. Rozbolała go głowa. Nie było jednoznacznej odpowiedzi, a przynajmniej on nie potrafił jej znaleźć. Próbował podejść do problemu od najbardziej racjonalnej, matematycznej strony. Nie przyniosło to jednak oczekiwanych rezultatów. Gdyby policzyć pana Czarnego jako głos za telewizją, byłoby trzy do dwóch. Jednak chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie dodałby telewizji całego punktu za Emmę. Ona mogła być warta co najwyżej półówkę. Poza tym, Hubert Hubert oszukiwał, bo miał telewizor, ale

ciągle go krytykował, więc powinien być liczony po obu stronach. Wtedy byłoby trzy do dwóch i pół na korzyść braku telewizora, ale to oznaczałoby całkowicie poważne potraktowanie Sabiny, co było absolutnie niemożliwe. W końcu była artystką i patrzyła złym okiem na wszystkie zdobycze nowoczesnej cywilizacji, może poza sprzętem do układania włosów. Była też kobietą, tak samo, jak zresztą Emma, co oznaczało dedukcję ćwierć punktu. Jedyнным w miarę rozsądnym człowiekiem w tym gronie był Artur R., co chyba nie najlepiej świadczyło o całym towarzystwie.

Tomasz L. załamał ręce. Zdał sobie sprawę, że każda decyzja będzie równie nieuzasadniona i irracjonalna. Równie dobrze mógł rzucić monetą. Właściwie, dlaczego nie? To prawda, przez wiele lat pieczołowicie planował swoją autostradę do szczęścia i nie do pomyślenia wydawało mu się zdanie na ślepy los. Jednak co zrobić, kiedy na drodze brakuje sensownego oznakowania? Tomasz L. był względnie inteligentnym człowiekiem i wiedział, że nie może iść jednocześnie w prawo i w lewo. Trzeba było coś wybrać. Bardzo zależało mu na tym, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję. Czuł, że w przeciwnym wypadku będzie musiał nadal stać w tym samym punkcie salonu i trzymać w ręku tę idiotyczną czaszkę. Był głodny i miał dosyć, w dodatku ręka zaczynała już go boleć, bo rzeźba była dosyć ciężka.

Niech będzie rzut monetą. Przez moment metoda ta wydała się Tomaszowi L. zbyt prozaiczna i zastanawiał się, czy nie lepsze byłyby kości. Kiedy jednak pomyślał o tym, że musiałby każdej liczbie oczek przypisać odpowiednie znaczenie, zrozumiał, że rzut monetą to dużo lepsze wyjście. Są dwie strony monety i dwie możliwości. Orzeł – kupuje największą, najbardziej płaską plazmę, jaką znajdzie w sklepie i w końcu będzie miał okazję obejrzeć kolejny sezon „Zatańczcie z kozłami”. Reszka – rezygnuje z oglądania telewizji, w miejscu przeznaczonym na telewizor wiesza jeszcze jeden obraz wschodzącej gwiazdy polskiego malarstwa awangardowego, samotne wieczory spędza czytając encyklopedię. Obie opcje wydały mu się nad wyraz kuszące. Tomasz L. ucieszył się, że wszystko tak sprytnie sobie obmyślił. Wyjął portfel, żeby przygotować odpowiednią monetę. Niestety, najwyższym nominałem, jaki miał przy sobie było marne pięćdziesiąt groszy. Nie był pewny, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale z jakiegoś powodu czuł, że do podjęcia tak istotnej decyzji powinno się wykorzystać co najmniej dwuzłotówkę. Najchętniej rzuciłby swoją kartą kredytową, albo chociaż jakimś banknotem – pięćdziesiąt złotych nadawałoby się chyba całkiem nieźle. Tomasz L. nie słyszał jednak o nikim, kto rzucałby banknotem zamiast monety, dlatego czym prędzej zaniechał dalszych rozważań na ten temat. Zbiegł do sklepu na dole, gdzie zdobył błyszczące pięć złotych. Może i pozostawiał decyzję Fortunie, co było trochę ryzykowne, ale na pewno nie zamierzał ryzykować jeszcze bardziej, używając pięćdziesięciogroszówki. Tomasz L. wrócił do mieszkania ze lśniącą monetą w dłoni i stanął w tym samym miejscu salonu, co wcześniej. Duża pięciozłotówka była jak najbardziej na miejscu. Kiedy przyglądał się wirującej w powietrzu monecie, Tomasz L. czuł, że szczęście jest o krok od niego.